

---

## BUM ! BUM! BUM!

---



Dochodząc do bezdusznego placu Rewolucji ulicą Kirowa, u wylotu której, po lewej stronie, znajduje się sklep „Smoleńskie Brylanty” ujrzy się wielką przestrzeń, której centralnym elementem jest pomnik Lenina. Czela-  
bińsk 2013. Poranek 15 lutego był wyjątkowo słoneczny, zimny. Syberyjski. Błękitne niebo. Szum trolejbusów mieszał się z hałasem porannego pośpiechu. Dym buchający z kominów, rur wydechowych, ust przechodniów. Miałem właśnie przechodzić przejściem podziemnym na drugą stronę prospektu, kiedy ujrzałem na niebie gwałtownie powiększający się niezemski blask.

Miecz. To było szybkie i niesamowite. Nadchodząca ze wschodu olbrzymiąca krecha jasności. Od razu. Wbijająca się w głowę, rozdzierająca nieboskłon. Apokalipsa teraz. Momentalnie chwycił mnie za serce strach i przecucie zbliżającej się katastrofy. Właściwie było to jedyne w swoim rodzaju Przełknięcie się, uczucie głębokiej grozy, którą może czuć tylko Stworzenie. Lęk przed obłądnym przyznaniem, że to Już. Strach przed Ostatecznością. Jak w chwili zachłyśnięcia się wodą, podczas pływania daleko od brzegu, kiedy ma się przecucie Końca, które zaraz stanie się. Takie rzeczy się zapamiętuje. Tego nie da się podrobić ani pomylić z czymś innym. Jest w Tobie, ukryte, ale zawsze gotowe na wydobycie. Pamięć ostateczności. Ale tam i wtedy miało to charakter masowy, wychodziło z serca i promieniało na ulice miasta, obejmowało wszystko i wszystkich. Widziało się i czuło, że to Coś z Nieba huknie w miasto, w plac, we mnie. Zetrze nas wszystkich. Ach! I to zatykające oniemienie w tym fleszowym świetle rozrywającego się niebiańskiego meteoroidu, przypominającym blask eksplozji termonuklearnej lub zimny blask lamp nad stołem operacyjnym! Docierające wraz z bojaźnią i drzeniem do rdzenia duszy, jestestwa. Do rdzenia ciebie. Przerazające światło zalewające, zabierające, pochłaniające. Jak wielgachna dłoń objęło wszystko, co widzialne, zatopiło w sobie. I na moment w tym niewidzeniu przestałem być sobą, stałem się ze wszystkimi wokół, z przechodniami, połączony przeznaczeniem, z miastem, placem, rzeczywistością. I znikł sklep „Smoleńskie brylanty” i znikł pełen ludzi trolejbus, i znikł w ogóle pomnik Lenina, i znikła bryła Sądu Arbitrażowego. Znikł cały Czelabińsk. Znikła cała Rosja. Na sekundę. Na wieczność... I kiedy stałem tam, u wylotu ulicy Kirowa-mordercy, tuż pod bramą z dwoma carskimi orłami po bokach i wielbłądem w zwieńczeniu, w tym apokaliptycznym momencie wszystko stało się nieistotne i bezwzględnie małe, zwyczajne, strachliwe, spłoszone. Ludzkie i jednocześnie ponadczasowe. I dam głowę, że słyszałem tylko bicie swojego serca. I dam głowę, że moje otwarte usta i oczy wbite w nieboskłon wyrażały ten brak pewności i wyrzuty sumienia tuż przed zbliżającym się Sądem. Uczucie Nieodwracalnego. Cisza w blasku. W centrum miasta. Na Placu Rewolucji. U stóp pomnika ludobójcy. Prolog Epifanii. W piątek. Cztery dni po ogłoszeniu opuszczenia Tronu Piotrowego przez Benedykta XVI.

Kiedy znów z nuklearnej jasności wrócił znany świat, niektórzy ludzie wyglądali jak na zimowym obrazie Bruegla. Flesz bytu-niebytu. Zastygli w przestraszu, z głowami zadartymi ku górze, figurki na śniegu śledzące

ogromny ślad bolidu przecinającego półsferę jak Lewiatan, rozrywający się i rozpadający kilkadziesiąt kilometrów nad ziemią. W tym zawieszeniu stali mi się bliscy, chciałoby się ich przytulić w tym ich człowieczeństwie, bo razem z nimi połączony byłem zwyczajną trwogą i małością. Byliśmy jak dzieci, które rozumiały, że dom, w którym się wychowujemy, w którym wyrosliśmy nie trwa wiecznie i nie jest dany nam na zawsze, że nie my jesteśmy jego wszechwładnym właścicielem i że to, co znane i pewne, stało się w jednej chwili obce i pewności pozbawione. Z kolei inni, całe ich mnóstwo, pędzili dalej przed siebie, toczyli swój żywot, jak rolnik orzący pole i niezauważający nawet Upadku. Celestialnego Ikara. I zdali mi się w tym momencie jako ci, co są zakałą na ucztach swoich, biesiadujący bez bojaźni, samych siebie pasący, jak chmury bezwodne, które od wiatru bywają wkoło pędzone, drzewa jesienne, nieurodzajne, dwakroć uschłe, wykorzenie, jak bałwany wzburzonego morza, z pianą swoją wyrzucające bezwstyd, gwiazdy błakające się, którym otchłań ciemności na wieki jest zachowana.

Stałem. Czysta karta opamiętania i wyczekiwania. Nieruchomy, a w sercu cały czas miałem niepowtarzalne uczucie, właściwie nie do opisanie... Ale wiem. Będę pamiętał. Będę. W przyszłości poznam je od razu. To był właściwie przedsmak nie śmierci nawet... Przedsmak tego czegoś, co być może – jak ułożyłem to sobie w swoim ograniczeniu, bo przecież jak ograniczenie może objąć, próbować nawet, to, co nie do objęcia – dotknie mojego serca, kiedy usłyszę przeraźliwe echo trąby ostatecznej, kiedy słońce zaniknie, nie zachodząc, kiedy gwiazdy zmieszają się na firmamencie, kiedy komety, mgławice, planety i galaktyki wszystkie naraz, setki pojawią się nad głowami i stanie się to, ot tak, jak w Czelabińsku, bez zapowiedzi. Bez akcji promocyjnych i bezpośrednich telefonów do klienta. Nie będzie czasu na wysłanie esemesa, nie będzie już czasu na przyspieszoną pokutę, nie będzie czasu na próżne żale i otulanie się poczuciem winy. Nie. Wtedy. Kiedy powróci Ten, który jest Dniem Bez Zmierzchu, przyjdzie stanąć mi twarzą w twarz przed Drogą, Prawdą i Życiem.

Tylko ptaki. Tylko ptaki i psy zareagowały natychmiast na to napowietrzne *signum*. Jeszcze przed nadejściem fali uderzeniowej. Jedne – wzbijając się chaotycznie chmurami w powietrze, drugie zaś – wyjąc. Chmura mojego oddechu i mróz na policzkach przypomniały mi, że żyję... I kiedym oniemiały, strwożony, miał zejść do podziemi, zwałił się na mnie, na wszystkich i wszystko potworny grom eksplozji, huk fali uderzeniowej, łomot rozrywającego się

w atmosferze bolidu, jak głos Pana. Wybuchy szyb mieszały się z wyciem alarmów samochodowych. Grad odłamków. Przerażeni przechodnie niemal siłą ściągnęli mnie ze sobą w dół, w głąb przejścia, po schodach. Przez pył szkła. Pod ziemię, gdzie w ciemnościach, stojąc zakrwawiony wśród Rosjan, pod prospektem Lenina, w samym środku Krainy Goga i Magoga, usłyszałem – pomimo płaczu dzieci, panicznego śmiechu jednego z mężczyzn i podniesionych głosów kobiet – jak odmawiam abysalne „Ojczy nasz”. W chaosie modlitwą okrywałem siebie, ludzi wokół. To była modlitwa też za Rosję. „Jezus powiedział do swoich uczniów: Będą znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach, a na ziemi trwoga narodów bezradnych wobec szumu morza i jego nawałnicy. Ludzie mdleć będą ze strachu, w oczekiwaniu wydarzeń zagrażających ziemi. Albowiem moce niebios zostaną wstrząśnięte. Wtedy ujrzą Syna Człowieczego, nadchodzącego w obłoku z wielką mocą i chwałą. A gdy się to dzieć zacznie, nabierzcie ducha i podnieście głowy, ponieważ zbliża się wasze odkupienie. Uważajcie na siebie, aby wasze serca nie były ociężałe wskutek obżarstwa, pijaństwa i trosk doczesnych, żeby ten dzień nie przypadł na was zniemacka, jak potrzask. Przyjdzie on bowiem na wszystkich, którzy mieszkają na całej ziemi. Czuwajcie więc i módlcie się w każdym czasie, abyście mogli uniknąć tego wszystkiego, co ma nastąpić i stanąć przed Synem Człowieczym”.

I będę pamiętał. Będę pamiętał, że w sumie, kiedy przyjdzie Czas, to większość z nas zapewne zachowa się jak ten rosyjski kierowca w nagraniu z jutuba, który widząc Znak nad Czelabińskiem, powtarzał cicho z głębokim i nabożnym przejęciem jedno tylko słowo: „Jezu, Jezu, Jezu”...

Tchnienie w otchłani.

+++

A poza tym sądzę, że Jeruzalem musi być wyzwolona.

Czelabińsk, 15 lutego 2013 r., o zmroku.